



Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
Oddział w Szczecinie



Szczecin 2018

*Ksiądz Witold
Andrzejewski.
Pielgrzym
Niepodległości
(1940-2015)*

*Ksiądz Witold
Andrzejewski.
Pielgrzym
Niepodległości
(1940-2015)*



Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
Oddział w Szczecinie

Szczecin 2018

Tekst:

Marta Marcinkiewicz

Redakcja i korekta:

Agnieszka Kula

Projekt graficzny i skład:

Stilus Rajmund Dopierała

Druk:

davidwebb.pl

Ikonografia:

Instytut Gość Media

Archiwum Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki i stronie tytułowej:

Ks. prałat Witold Andrzejewski, 11 listopada 2013 r.

(fot. ks. Marcin Siewruk, Instytut Gość Media)

Zdjęcie na ostatniej stronie okładki:

Ks. Witold Andrzejewski w czapce oficerskiej taty

(fot. ze zbiorów ks. Witolda Andrzejewskiego,

Archiwum Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej)

Za pomoc dziękujemy panu Januszowi Dreczce.



© Instytut Pamięci Narodowej

Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Oddział w Szczecinie

Szczecin 2018



O księdzu Witoldzie Andrzejewskim

można napisać wiele: artysta, gorliwy kapłan i mądry duszpasterz, patriota. Był doskonałym mówcą o nieprzeciętnym intelekcie. Odważnym i charyzmatycznym. Wyrazistym i jednoznacznym w poglądach autorytetem. Człowiekiem autoironicznym, z wielkim, niebanalnym poczuciem humoru. Oddanym Bogu, parafianom oraz swym wychowankom, z których wielu zasłużyło na miano jego przyjaciół. Swoje kapłaństwo mocno związał z ludźmi. Był bliski gorzowianom, ale jego głos rozbrzmiewał nie tylko w mieście nad Wartą. Z jego mądrych kazań, szczególnie w okresie rekolekcji, czerpali wierni z wielu miast w Polsce. Zajmował stanowisko wobec wielu tematów, które nurtowały społeczeństwo. Całe życie tęsknił za ojcem, którego NKWD zamordowało w tym czasie, kiedy on przyszedł na świat. Jeden z jego wychowanków, a zarazem przyjaciel, Bogusław Kiernicki, po śmierci swojego Mistrza napisał: „Był niezwykłym człowiekiem i niezwykłym kapłanem. Miało się wrażenie, że pod sutanną miał szablę i buty z ostrogami. Prawdziwy ułan Matki Bożej. Pewnie jeden z ostatnich. Na pewno ostatni z taką fantazją”.



Jadwiga Kożuchowska, pierwsza z prawej
prawdopodobnie 1935 lub 1936 r.



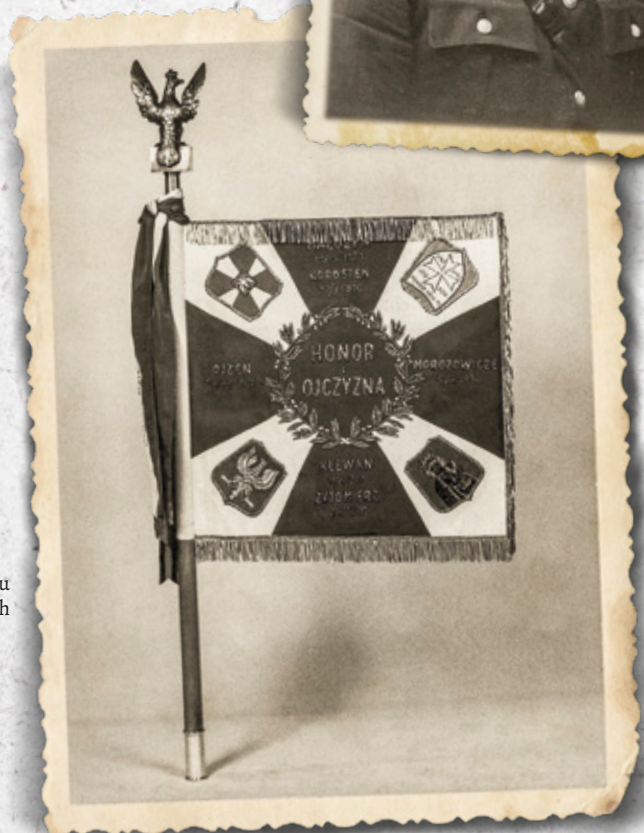
Rotmistrz Witold Andrzejewski



Jadwiga Andrzejewska,
z lewej Witold Andrzejewski



Ślub Jadwigi i Witolda Andrzejewskich



Sztandar 25. pułku
Ułanów Wielkopolskich

Urodził się 3 kwietnia 1940 r. w Kownie. Jego mama Jadwiga, z domu Kożuchowska (1912–1991), przed wojną uczyła w konwersatorium. Ojciec, rotmistrz Witold Andrzejewski (1896–1940) był zawodowym oficerem, dowódcą Szwadronu Zapasowego 25. pułku Ułanów Wielkopolskich. Spokojne życie małżeństwa Jadwigi i Witolda przerwała wojna. Po latach ksiądz Witold opowiadał: „Byłem już poczęty, gdy tato wyruszył na front. Umówił się z moją mamą, że jeśli wróci, będę Bogdanem, a jeśli nie – Witoldem. Niestety, nie wrócił”. Po agresji ZSRR na Polskę wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną, wraz z tysiącami polskich oficerów i podoficerów trafił do obozu w Starobielsku, a następnie, najprawdopodobniej pomiędzy 5 kwietnia a 12 maja 1940 r., został zamordowany strzałem w tył głowy, przypuszczalnie w więzieniu NKWD w Charkowie. Pochowano go w nieznanym miejscu. Jego nazwisko znajdowało się na pierwszych listach katyńskich, więc rodzina nie miała złudzeń, że żyje.

Olbrzymi wpływ na wychowanie Witolda miała matka, z którą łączyła go bardzo silna więź. „Poświęciła mi całe życie – mówił – jeżeli jest we mnie coś dobrego, to, poza Panem Bogiem, jest to dzieło mojej mamy”. Nie wyszła drugi raz za mąż, w pełni poświęcając się wychowaniu syna. Był wychowywany w kulcie Polski. Miał wielu wojskowych w rodzinie, jego dalekim wujkiem był mjr Henryk Dobrzański ps. Hubal. Już jako dojrzały mężczyzna opowiadał, że tęsknił za ojcem. W czterdziestolecie kapłaństwa mówił: „Taty nawet nie widziałem, a przecież mnie wychowywał”. Żył w świadomości jego dokonań, wyobrażał go sobie jako bohatera, wiedział gdzie i dlaczego zginął, od dziecka miał tego świadomość, dlatego prawda historyczna pozostawała tym, czego szukał przez całe życie.



Z mamą, w czasach gimnazjum



Czas po urodzeniu do 1945 r. nazywał tułaczką. Będąc jeszcze w ciąży, jego mama Jadwiga uciekła pod Kołomyję, ale wróciła do Kowna, gdzie mieszkała rodzina męża. Zaraz po porodzie, wraz z synem wróciła do swojej rodziny, koło Mołodeczna. Kiedy Witold miał cztery lata, na krótko zamieszkali w Lublinie, aż w 1945 osiedli we Wrocławiu. Wkrótce część rodziny Andrzejewskich, z nieznanych powodów, musiała opuścić również stolicę Dolnego Śląska. Udali się do Łodzi, gdzie mieszkała siostra jego mamy z mężem. Tam skończył podstawówkę, a następnie, w 1958 r., męskie Liceum im. Mikołaja Kopernika, jedno z najlepszych w Polsce. Chciał być samodzielny, na studia wyjechał do Warszawy, jednak filologię polską studiował tylko jeden semestr. W dorosłym życiu dziwił się temu wyborowi: „Argument, że lubię czytać, nie jest właściwy do podjęcia studiów polonistycznych”.

Mały Witold z mamą



Mały Witold



W wojsku, pierwszy z prawej

Ksiądz Witold Andrzejewski. Pielgrzym Niepodległości (1940–2015)



Ks. Bronisław Bozowski (1908–1987) cieszył się wieloma przydomkami, nazywany był „biedaczną z Warszawy”, „przyjacielem grzeszników” czy „duszpasterzem chuliganów”, ale też „duszpasterzem środowisk twórczych”

Pobył w Warszawie zaowocował jednak innym doświadczeniem. Zetknął się z wówczas z ks. Bronisławem Bozowskim, księdzem, o którym mówił, że „odkrył mu Kościół”. Było to jedno ze spotkań, które zadecydowało o jego późniejszym wyborze: „Kościół, na który ja patrzyłem poprzez same struktury – jak młody człowiek – z przekąsem, z buntem i z niechęcią. On nagle odkrył, że jest to środowisko, w którym człowiek może oddychać wolnością i prawdą”.

Wkrótce jednak wrócił do Łodzi, by w następnym roku rozpocząć studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Leona Schillera, ale i tych nie dane mu było ukończyć. Po latach, z właściwym sobie dystansem, tłumaczył: „jak zawsze, musiałem coś nawywiјаć [...], zapuściłem długie włosy i czekałem na talent. Robiłem wtedy różne

rzeczy, przez co nie miałem czasu na studia”. Między innymi zagrał wówczas jako statysta w jednej ze scen w filmie „Krzyżacy”. Jako student w Łodzi trafił do duszpasterstwa akademickiego jezuitów prowadzonego przez o. Huberta Czumę: „Stał się dla mnie człowiekiem bardzo znaczącym, dzięki któremu umocniłem się w wielu różnych swoich postawach, a wielu nowych rzeczy się od niego nauczyłem, szczególnie jeżeli chodzi o twardą wierność Kościołowi i Ojczyźnie – co było głównym zwornikiem nauczania ojca Huberta. [...] I wszyscy wychowankowie ojca Huberta są głęboko wdzięczni, bo kontakt z nim był czymś szalenie ważnym w życiu każdego z nas i losy wielu potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby nie to, że Pan Bóg postawił tego człowieka na naszej drodze. On nie tylko potrafił powiedzieć, ale i pokazać całym sobą, na czym polega uczciwość chrześcijańska i patriotyzm zanurzony w Ewangelii [...]. I do dnia dzisiejszego dziękuję Panu Bogu, że spotkałem takiego człowieka na mojej drodze”. Obaj duchowni, ks. Bozowski i o. Czuma, uczyli prawdy i niezależnego myślenia, i obaj stali się dla księdza Andrzejewskiego wzorem kapłaństwa.



Na obozie z o. Czumą, z lewej Witold Andrzejewski, z prawej o. Hubert Czuma



„Uczestnictwo we mszach na obozach gdzieś pod niebem, w innej zupełnie scenerii, pozwalało bardzo mocno przeżyć sam udział we mszy św., co potem procentowało w naszym dalszym życiu. Obozy nauczyły nas też życia we wspólnocie – musieliśmy wszystko robić sami, musieliśmy dbać jeden o drugiego, a przy tym był taki dreszczyk emocji, kiedy z plecakami codziennie wybieraliśmy się w małych grupach w drogę, żeby nas nie złapali gdzieś w górach. Rozbijaliśmy namioty daleko od szlaków turystycznych, żeby nie narażać się na kontakty z panami z SB”.



Bieszczady, obóz ze studentami



Msza św. podczas obozu, pośrodku o. Hubert Czuma, pierwszy z prawej Witold Andrzejewski



Na obozie, w centrum o. Hubert Czuma,
powyżej z prawej strony Witold Andrzejewski



O. Hubert Czuma (na zdjęciu w czapce) o Witoldzie Andrzejewskim:
„Był bardzo lubiany w grupie, bardzo pogodny, serdeczny
dla innych, żartobliwy, a jednocześnie »serio-człowiek«.
Bardzo bogaty wewnętrznie. Zawsze był taki, jak trzeba”



fot. Grażyna Wyszmirska

Zagrał około 40 premier. Zaczynał od epizodów, grał m.in. murarza w „Zemście” Aleksandra Fredry, by skończyć na roli Gustawa w „Dziadach” Adama Mickiewicza. Wśród pierwszoplanowych ról był również Don Alvarès w sztuce Stanisława Lubomirskiego. Poniżej z Agnieszką Byrską w roli Faramuszki, połowa lat 60. XX w.



fot. Grażyna Wyszmirska

Aktor

Pomimo rezygnacji ze Szkoły Teatralnej, nie zrezygnował z aktorstwa. Wiedział jednak, że nie nauczy się go z książek, dlatego postanowił jak najwięcej grać i uczyć się na własnych błędach. Wykorzystał możliwość zrobienia dyplomu eksternistycznie. Na tzw. prawie współpracy



fot. Grażyna Wyszmirska

Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wlkp. w latach 1963–1966 pozostawał pod kierownictwem Ireny i Tadeusza Byrskich – małżeństwa reżyserów i aktorów, pasjonatów teatru i pedagogów. Nie mogąc porozumieć się z lokalną władzą, w 1966 r. Byrscy zrezygnowali z kierowania gorzowskim teatrem. Na zdjęciu Irena i Tadeusz Byrscy, 1987 r.



został zatrudniony w gorzowskim Teatrze Dramatycznym im. Juliusza Osterwy, z którego Irena i Tadeusz Byrscy uczynili jedną z ciekawszych placówek kulturalnych w Polsce.

Zdawał sobie sprawę, że zawód aktora wzbudzał emocje: „[...] w starych prawach kanonicznych można znaleźć przepis, że aktorzy należeli do tej kategorii, których nie należy chować w poświęconej ziemi. Też tak bywało. Ale akurat w mojej rodzinie nie miałem żadnego problemu. Zresztą nie tylko w mojej rodzinie – pomyślmy, jaki megalians musiała popełnić Sapieżanka, wychodząc za Juliusza Osterwę”. Po latach wspominał, że była to praca ciężka, ale zarazem wspaniała: „Znalazłem się w miejscu, w którym można było się bardzo wiele nauczyć, nie tylko zawodu, ale także sposobu myślenia, widzenia i obserwacji świata, studiów nad nim. Całymi dniami siedzieliśmy w teatrze, szukając, dyskutując, rozmawiając, pracując”. Ostatecznie Witold Andrzejewski dyplom otrzymał po zdaniu egzaminu eksternistycznego przed Państwową Komisją Egzaminacyjną dla Aktorów Dramatycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie w 1963 r., tym samym, co jego koledzy ze studiów. Ostatecznie nie aktorstwo okazało się jednak jego życiowym powołaniem...

Jako kleryk
w seminarium,
drugi od prawej
w drugim rzędzie
od dołu



„Bądź wola Twoja”

„Chwilę tę pamiętam jak dziś. Było to w roku 1965. Jadąc do domu na święta Bożego Narodzenia, zatrzymałem się u przyjaciół w Poznaniu. Sytuacja była bardzo niepobożna, piliśmy piwo – ale nie byliśmy pijani. Nie rozmawialiśmy również o pobożnych sprawach. Pamiętam, że mówiliśmy o komunie. Przytulałem się do pieca, bo było pierońsko zimno. Wtedy nagle zrozumiałem, że Pan Bóg chce ode mnie, żebym został księdzem. Określiłbym to jako »nagle urodzoną świadomość«. Nie było to żadne olśnienie, wizja czy słyszenie głosu. Ponieważ byłem człowiekiem wierzącym, miałem do wyboru, albo powiedzieć Panu Bogu »tak«, albo »nie«. Dla mnie był to problem wierności, a nie ochoty. Jeżeli mówię, że wierzę, modłę się słowami: »Bądź wola Twoja«, to muszę być konsekwentny. [...] Do tej pory pamiętam swój ostatni wieczór, kiedy stałem na scenie sam, w pustym budynku...

Było to dla mnie bardzo trudne pożegnanie”. 31 sierpnia 1966 r. miał 26 lat, był zatem człowiekiem o ukształtowanej osobowości, nic zatem dziwnego, że w jednym z wywiadów stwierdził: „To było tak, jakbym się wychylił przez okno jadącego pociągu i trafił głową w słup”. Po latach wspominał, że nie chciał być księdzem, miał inny plan na życie, chciał spróbować swych sił w Teatrze Laboratorium Grotowskiego, jednak z wystawionych mu opinii (niezbędnych przy wstąpieniu do seminarium) przez ks. Bronisława Bozowskiego i o. Huberta Czumę wynika, że o wstąpieniu do seminarium myślał już po maturze, tylko głęboka świadomość, że jest jedynym opiekunem swojej matki, powstrzymywała go przed podjęciem decyzji.

Jego wybór padł na Wyższe Seminarium Duchowne w Gościkowie-Paradyżu w diecezji gorzowskiej. Za logiczną uznał radę kolegi, by iść tam, gdzie jest najmniej księży, gdzie potrzeba najwięcej rąk do pracy. Po sześciu latach studiów, 18 czerwca 1972 r. przyjął święcenia kapłańskie z rąk ks. bp. Wilhelma Pluty. Choć przestał być aktorem gorzowskiej sceny, jego losy pozostały splecione z miastem. Został wikariuszem w gorzowskiej parafii Niepokalanego Poczęcia NMP przy ul. Mieszka I, ale z przeznaczeniem do pracy w kaplicy Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ul. Chodkiewicza w Gorzowie. Trafnie rozpoznał swoje powołanie do pracy z młodzieżą. Dostrzegali to również jego przełożeni w seminarium, dlatego już w październiku 1972 r. rozpoczął pracę jako duszpasterz akademicki.



Jako młody kapłan, procesja Bożego Ciała,
początek lat 70. XX w.

Od lewej ks. Witold Andrzejewski,
ks. Ryszard Dobrołowicz, ks. Marek Demski,
fot. Elżbieta Rogulska



W salce duszpasterstwa akademickiego
przy ul. Chodkiewicza w Gorzowie Wlkp.



Uczestnicy duszpasterstwa
akademickiego przed mszą św.
przy ulicy Chodkiewicza,
trzeci od lewej stoi Janusz
Dreczka

Jego obecność w Gorzowie Wlkp. stała się nieocenioną wartością dla życia społecznego miasta. W duszpasterstwie, które dzięki swej niezwykle osobowości stworzył, rodziła się niepodległość. Dla młodych ludzi, będących u progu dorosłości, był nie tylko przewodnikiem duchowym i moralnym, ale też intelektualnym – uczył mądrego patriotyzmu i odpowiedzialności za państwo, za jakość życia publicznego. Organizowane przez niego wykłady przeradzały się w dyskusje, które dla doświadczającej w szkole wychowania socjalistycznego młodzieży były czymś zupełnie nowym. Jak sam podkreślał, z młodymi rozmawiał normalnym językiem, co w czasach wszechobecnej nowomowy, urzędowej propagandy sączącej się z prasy, radia i telewizji, było jak powiew wolności i świeżości. Nie używał wobec nich żadnych chwytów. Na pytanie o to, czym zachęcał do uczestnictwa w duszpasterstwie, odpowiadał: „Zawsze byłem dla nich. Miałem dla nich czas, byłem ich własnością. Nigdy nie kłamałem. Wiedzieli, że nigdy nie będę łgał. Że to co mówię – to samo myślę”. To przyciągało młodzież.

Uważał, że wartość człowieka nie zależy od jego statusu naukowego: „Wychodziłem z założenia, że duszpasterstwo akademickie jest to kwestia pewnego poziomu, a nie posiadania indeksu. Bardzo dbałem, żeby nie wytworzyła się pewna »kasta«. Nasze środowisko było bardzo otwarte. Jeżeli ktoś nie był studentem, a na przykład robotnikiem, również miał pełne prawo przychodzić” – mówił. Do duszpasterstwa uczęszczało także wielu uczniów I Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Gorzowie Wlkp., których katechizował. Zajęcia w duszpasterstwie odbywały się cztery razy w tygodniu. Obok formacji religijno-modlitewnej, teologicznej, duchowej, była formacja historyczno-patriotyczna. Młodych uczył czytać Pismo św., ale również poezję. Udostępniał literaturę polską i zagraniczną, jak również prasę niezależną i literaturę drugiego obiegu. W ten sposób uczył o patriotyzmie i historii. Większość wykładów prowadził sam, ale zapraszał też gości, m.in. historyków, znanych ówczesnych intelektualistów, opozycjonistów, aktorów, pisarzy. Jak już wspomniano, doświadczenie dotyczące śmierci ojca, pamięć o nim,

wywarły olbrzymi wpływ na jego dorosłe życie, zwłaszcza na stosunek do prawdy historycznej. Uważał, że jego obowiązkiem jest podejmowanie tematów niepodległościowych przy formowaniu młodzieży. Za o. Józefem Marią (imię zakonne Innocenty) Bocheńskim powtarzał: „Ojczyzna jest darem, który człowiek otrzymał od Boga, patriotyzm jest zatem cnotą religijną”. Ksiądz nie miał wątpliwości, że Kościół musi wygrać z władzą walkę o „rząd dusz”, dlatego przychodzącym na spotkania młodym ludziom wpajał wartości moralne, uczył pracy nad sobą. To było bardzo istotne i uważał to za swój obowiązek. Wiedział, że to od nich będzie zależeć przyszłość Polski.

Duszpasterstwo to również koncerty, rajdy, czytanie literatury, poezji, udział w pielgrzymkach na Jasną Górę (warszawskiej, później gorzowskiej), rekolekcjach czy obozy wędrownie w górach, które *de facto* również były rekolekcjami: „To nie było tylko łażenie po górach i śpiewanie sympatycznych piosenek przy ognisku, ale były i konferencje, i wspólne czytanie Pisma świętego, i dyskusowanie, dzielenie się

Ewangelią – w różnych latach różnie to było. Dla każdego było to obowiązkowe. Każdemu, kto chciał jechać na taki obóz, był przedstawiany program i mówiliśmy: stary, jak chcesz jechać – proszę bardzo, ale musisz zaakceptować pewne nasze reguły. Struktura organizacyjna należała do młodzieży i było to bardzo wychowawcze” – wspominał. To na jednym z pierwszych wyjazdów otrzymał pseudonim Szef. W PRL, kiedy obozy były nielegalne, przezwiska duszpasterzy były czymś oczywistym – chodziło o to, by nie zwracać na siebie uwagi. Afiszowanie się z faktem, że w obozie jest ksiądz, mogło grozić sporymi problemami.



Podczas pielgrzymki na Jasną Górę

Czymś szczególnym w jego życiu było pielgrzymowanie na Jasną Górę, choć jak stwierdzał, zaczęło się wcale nie z pobożnych powodów: „Wydawało mi się, że pielgrzymki to już jest przebrzmiały etap, że współczesny katolicyzm to inne formy. Dopiero kiedy pierwszy raz przeszedłem z pielgrzymką jako kleryk, zorientowałem się, że myślałem wyjątkowo głupio. Od tej pory chodziłem już przez kilkadziesiąt lat, dopóki mnie choróbko nie zmogło”. Początkowo zajmował się ochroną warszawskiej pielgrzymki przed organizowanymi przez Służbę Bezpieczeństwa grupami, mającymi na celu bicie pielgrzymów czy psucie o nich opinii, np. poprzez organizowanie pijatyk w miejscowościach, w których nocowali. Z czasem stał się olbrzymim zwolennikiem „rekolekcji w drodze”, a kiedy pielgrzymka warszawska rozrosła się do kilkudziesięciu tysięcy uczestników i stawała się coraz trudniejsza w organizacji, wraz ze swoimi wychowankami z duszpasterstwa akademickiego postanowił zorganizować pielgrzymkę diecezjalną z Gorzowa Wlkp. Po latach, kiedy został konfratrem zakonu paulinów, mówił: „Ten mój związek z Jasną Górą,





a ściślej biorąc z Matką Bożą na Jasnej Górze, jest czymś rzeczywiście bardzo ważnym w moim życiu. Nie mam wątpliwości, że to Ona mnie prowadzi. A wprowadzanie mnie do Niej, to, co robili przez te lata ojcowie, zakon paulinów, jest dla mnie czymś szalenie wyróżniającym. I jestem pełen wdzięczności za to, co robili. Oni mi pomogli przytulić się do Matki Bożej przez tyle lat. Ja tutaj, wchodząc na Jasną Górę, jeśli miałem jakieś momenty słabości, odzyskiwałem odwagę. Tutaj oddychałem wolnością. Przez całe lata komunizmu żyłem jako człowiek wolny, w tym systemie niewoli. Właśnie stąd to odbierałem, także mam za co dziękować”. Zakony paulinów oraz benedyktynów (był oblątem tynieckim) były księdzu Andrzejewskiemu szczególnie bliskie, ale osobiście związany był także z innymi, m.in. siostrami urszulankami czy filipinami.





Na zdjęciach ks. Witold Andrzejewski z ks. bp. Edwardem Dajczakiem



Ks. Witold Andrzejewski podrzucany przez pielgrzymów



Księdzu Andrzejewskiemu przyszło żyć w trudnych czasach, kiedy niemal każdym kapłanem interesowały się władze i Służba Bezpieczeństwa. Pomijając fakt pochodzenia z rodziny inteligenckiej, co dla ówczesnych władz z założenia było niebezpieczne, wydaje się, że uwagę Służby Bezpieczeństwa musiała zwrócić informacja o jego ojcu, przedwojennym oficerze, kawalerzyście, a szczególnie jego zamordowaniu w 1940 r. Z całą pewnością bez echa nie mógł pozostać wątek jego zażyłości z członkami Ruchu – największej po 1956 r. demokratycznej organizacji konspiracyjnej. Jeszcze jako student w seminarium był przesłuchiwany w czasie śledztwa dotyczącego jej działaczy. Od samego początku duszpasterskiej posługi poddawany był inwigilacji. Standardowo założono mu Teczkę Ewidencji Operacyjnej na Księdza, ale fakt, że w krótkim czasie stworzył zwarte środowisko młodych ludzi, niezależnie myślących, poszukujących odpowiedzi na pytania, których, zdaniem władz, nie powinni nawet zadawać, spowodował, że zaczęto go obserwować także w ramach innych spraw, np. o krypt. Orator, Żak (sprawa obiektowa założona na Duszpasterstwo Akademickie), ale także w całym szeregu innych, zakładanych na jego wychowanków, działaczy duszpasterstwa, na niektórych członków gorzowskiego oddziału Stowarzyszenia PAX czy też później działaczy Solidarności. Na podstawie dokumentów rozproszonych w różnych miejscach można wyciągnąć wnioski, że prowadzono szczegółową dokumentację jego życia. Zdaniem jednego z byłych funkcjonariuszy SB był on najważniejszą, poza biskupami, osobą zabezpieczaną operacyjnie przez gorzowski Wydział IV KW MO. Informacja ta nie dziwi, ponieważ był jednym z najbardziej niepokornych wobec władzy komunistycznej księży nie tylko w Gorzowie, ale także w skali kraju.

Choć Służba Bezpieczeństwa wykorzystywała cały wachlarz środków, mających na celu „neutralizację” księdza Andrzejewskiego, poniosła porażkę. Pozyskani przez nią tajni współpracownicy, choć pochodzący ze środowiska duszpasterstwa, nie należeli do grona działaczy z jego najbliższego otoczenia. Co prawda założono mu podsłuch telefoniczny, ale jak sam twierdził, nauczył się rozmawiać zwięźle i bez wchodzenia w szczegóły. Nieraz zresztą posługiwał się wymyślonym *ad hoc* szyfrem, który stawiał na nogi Służbę Bezpieczeństwa, choć tak naprawdę nic nie znaczył. Nagrywano jego kazania, z których robiono stenogramy, obserwowano mieszkanie, fotografowano osoby przychodzące na spotkania z nim, zapewne kontrolowano również korespondencję. I choć odbieranie obraźliwych telefonów w środku nocy, także przez mieszkającą na plebanii jego mamę, nie mogło być łatwym doświadczeniem, jak mawiał, były to uciążliwości, z którymi dawało się żyć. Paradoksalnie wzmocniło go doświadczenie z pierwszych lat kapłaństwa. Przygotowane przez SB pornograficzne informacje na temat księdza, ulotki, listy, nieobyczajne wiersze, pojawiły się nie tylko w Gorzowie, ale także we Wrocławiu, Poznaniu i Szczecinie. Był to trudny okres w jego życiu, jednak próba jego dyskredytacji przez SB nie powiodła się: „Pierwszy raz oblano mnie błotem, i to tak śmierdzącym. Faktycznie byłem bliski załamania się. Potem już nie ruszała mnie żadna plotka” – wspominał. Ludzie odnosili mu listy, a przełożeni, co było bardzo ważne, stanęli za nim murem. Mimo wieloletniej presji ze strony gorzowskich władz, nigdy nie odsunięto go od pracy z młodzieżą: „Nigdy nie usłyszałem od biskupa Pluty słowa krytyki ani pretensji na temat mojej działalności, wręcz przeciwnie, mówił: »Andrzejewski, nie bój się komunistów, nie bój się!«”. W innym miejscu zaś: „Na Kościele nigdy się nie zawiodłem – ani na Kościele w Polsce, ani na powszechnym. To, że tacy czy inni ludzie Kościoła postąpili nie zawsze jak należy...



Kolęda w akademiku
studenckim, 1980 r.



Od lewej
ks. Ryszard Dobołowicz,
Robert Głuchy, ks. Witold
Andrzejewski. Najpewniej
teren budowy kościoła
pw. Najświętszej Maryi Panny
Królowej Polski w Głogowie,
pierwsza połowa lat 80. XX w.



Msza za ojczyznę w katedrze

Zawsze tak było, że są tacy, którzy nie zawsze postępują słusznie – to widać choćby po życiorysach apostołów, niektórzy wręcz zdradzili”. Wkrótce przyjął zasadę, że o każdym działaniu SB wobec niego czy działaczy duszpasterstwa, będzie mówił z ambony. Niebezpiecznie stawało się, kiedy dowiedział się od „życzliwych”, że ma uważać jadąc samochodem, ponieważ „jest przygotowywany wypadek”. Do śledzącego go stale samochodu zdążył się przyzwyczaić. Co ciekawe, nigdy nie odważono się go zatrzymać. Władze musiały mieć świadomość reakcji społeczeństwa Gorzowa, wiedziały, że dostarczy im to wyłącznie kłopotów. Walkę z kościołem prowadziła nie tylko SB, ale także Urząd ds. Wyznań i jego terenowe struktury. Wobec nieustępliwej postawy księdza Andrzejewskiego Wydziałowi ds. Wyznań Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp. pozostawało tylko utrudnianie mu życia, na przykład poprzez niewyrażenie zgody na mianowanie go proboszczem. Zresztą ksiądz Andrzejewski nie omieszkał publicznie przywołać uzasadnienia dyrektora wydziału, który uzasadniając odmowę, stwierdził, że kapłan nie posiada „należytych kwalifikacji obywatelskich”.

Władze słusznie obawiały się efektów jego działalności, ponieważ młodzież z duszpasterstwa nie kryła się z antykomunistycznymi poglądami. Poza tym, ksiądz Andrzejewski był obecny przy powstawaniu wszystkich gorzowskich inicjatyw opozycyjnych – od patronatu nad kolportażem prasy drugoobiegowej, aż do takich inicjatyw jak utworzenie Ruchu Młodej Polski, Niezależnego Zrzeszenia Studentów i oczywiście NSZZ „Solidarność”. Niezwykle ważną postacią był również dla późniejszych organizacji, Ruchu Młodzieży Niezależnej czy Ruchu „Wolność i Pokój”. Zasady, które wpajał swym wychowankom, zaowocowały w 1980 r., kiedy wielu z nich wstąpiło do Solidarności. Ksiądz poszedł za nimi. Zostając kapłanem Solidarności, jednoznacznie stanął po stronie nowego związku zawodowego.



Podczas uroczystości poświęcenie sztandaru NSZZ „Solidarność” ZWCh Stilon, w centrum ks. Witold Andrzejewski, z prawej Anatol Konsik, z lewej Edward Borowski, 19.09.1981 r.



Jego rola w ruchu robotniczym nie ograniczała się jednak wyłącznie do święcenia sztandarów, opieki duchowej czy do celebrowania mszy św. Pierwsze spotkania gorzowskiej Solidarności odbywały się w jego obecności, w parafii przy ul. Obotryckiej, został wybrany w skład dwunastoosobowej komisji wyborczej do przeprowadzenia wyborów do władz regionalnych, został zaproszony jako gość na I Walny Zjazd Delegatów Regionu Gorzowskiego, wszedł również w skład Komitetu

Obrony Więzionych za Przekonania, a następnie Komitetu Obchodów Święta 11 Listopada. Podejmował szereg innych działań, włączył się w działalność Towarzystwa Opieki nad Więźniami i Duszpasterstwa Ludzi Pracy. „Gdy powstała Solidarność, zagrały we mnie wielkie emocje. Przeżywałem wręcz euforię, co mi się w życiu zdarzało bardzo rzadko” – wspominał. Pieczę objął również nad działaczami Niezależnego Zrzeszenia Studentów gorzowskiej Akademii Wychowania Fizycznego. „Wreszcie można było zacząć inaczej pracować ze studentami, pozwolono nam wchodzić do akademików. Bardzo dobrze pamiętam pierwszą kolędę w akademikach, którą skończyłem grubo po północy. Pracownicy śmiali się, że akademik nigdy nie był tak czysty, chyba jedynie w dniu otwarcia”. I dalej: „Byłem wtedy bardzo zajęty. Kupiłem samochód, żeby się szybciej przemieszczać, ponieważ zaczęły mi się »sypać« wykłady na różnych uczelniach, w Szczecinie, Poznaniu, Wrocławiu. Były to wykłady interdyscyplinarne, z pogranicza teologii i myśli społeczno-politycznej. Zazwyczaj rano jechałem na którąś z uczelni, wieczorem prowadziłem wykład, wracałem nocą, a od rana zajęty byłem obowiązkami w Gorzowie. Nie miałem zbyt wiele czasu na refleksje, żeby pomyśleć, co może wydarzyć się w najbliższej przyszłości. Byłem wciąż bardzo euforyczny, aż sam się sobie dziwię. Wydawało mi się wręcz, że jest to już koniec systemu, że wszystko się bardzo szybko »rozmontuje«. Dlatego uderzenie stanu wojennego było bardzo mocne”.

Kiedy rozpoczął się stan wojenny, na gorzowskiej AWF trwał strajk studentów, z którymi ksiądz spędzał każdą wolną chwilę. Kiedy w nocy 12 grudnia wrócił na plebanię i około północy zaczął otrzymywać kolejne informacje o zatrzymywanych osobach, ruszył do Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”. Ponieważ budynek był otoczony przez milicję, wraz z ks. Andrzejem Szkudlarkiem ruszył ostrzec działaczy związkowych oraz studentów. Telefony dawno nie działały.



Msza koncelebrowana przez o. Huberta Czumę, z lewej ks. Witold Andrzejewski



Ks. Witold Andrzejewski ze swoim chrześniakiem, obok Andrzej Czuma

Udali się na plebanię przy Mieszka I, gdzie wspólnie z ks. Jerzym Płóciennikiem postanowili podjąć jakieś działania: „Wiedzieliśmy, że musimy zaprotestować. Został zredagowany bardzo ostry protest do odczytania z ambon, pojechaliśmy do księdza Sygnatowicza, który był wikariuszem generalnym w diecezji, prosząc o pozwolenie na odczytanie protestu z ambon wszystkich kościołów. On się zgodził. Wróciliśmy na plebanię, już zaczynało świtać, czekaliśmy, aby rozwieźć to na wszystkie parafie i nagle ktoś mówi: zobaczmy, co słyhać, ktoś włączył telewizor, no i wtedy zobaczyliśmy Jaruzelskiego na tle flagi, która wyglądała tak, jakby się przewracała (to był taki bardzo symboliczny wyraz) i mówił o stanie wojennym. Wtedy przeredagowaliśmy ten nasz komunikat, tonacja jego musiała być inna i rozwieźliśmy go

do wszystkich parafii – to był protest duszpasterzy naszego miasta przeciwko stanowi wojennemu. I z tego, co wiem, to było jedyne miasto w Polsce, w którym odczytano z ambon już w pierwszą niedzielę stanu wojennego protest”.

13 grudnia 1981 r. zdezorientowani mieszkańcy miasta garnęli się do kościołów. Niektórych właśnie tam zastała informacja o wprowadzeniu stanu wojennego. Po odczytaniu protestu wielu płakało. Tego dnia w gorzowskiej katedrze został poświęcony sztandar Elektrociepłowni: „W trakcie kazania nagle zaczęła grać orkiestra, która została wcześniej zamówiona na ten dzień. Zrobił się szum. Nie było do końca wiadomo, co się dzieje. Katedra była dosłownie nabita ludźmi. Niespodziewanie środkiem weszła orkiestra i sztandar Solidarności. Ludzie uderzyli w płacz. Orkiestra zagrała »Boże, coś Polskę«. Święciłem ten sztandar, ale nie wiem, co mówiłem. Beczałem. Widziałem, że ksiądz infułat, siedzący w szatach infułackich, również płakał. Z zakrystii wyszedł drugi, towarzyszący sztandar ZREMBU. Ktokolwiek był na tej mszy, nie zapomni tego do końca życia”.

Wrócił czas represji. Pomimo tego ksiądz nie tylko w trakcie spotkań z młodzieżą, w zamkniętym gronie, wygłaszał radykalne jak na tamte czasy stwierdzenia. Odwagi nie brakowało mu także w trakcie publicznie wygłaszanych kazań, w czasie których mówił m.in. o kompromitowaniu się komunizmu, a ustrój otwarcie nazywał totalitarnym. Odprawiane wówczas przez księdza msze św., które gromadziły rzesze wiernych, przeszły do historii, ale tym razem również nie ograniczył się wyłącznie do wsparcia duchowego, choć oczywiście było ono potrzebne mieszkańcom miasta jak być może nigdy dotąd. Pamiętając słowo, które na początku działania Solidarności dał związkowcom, że gdyby zostali aresztowani, Kościół zajmie się ich rodzinami, pilnował, by niczego im nie brakowało. Wychowankowie księdza Andrzejewskiego, zdając sobie

sprawę, że przychodzenie z prośbą o pomoc może być upokarzające i nie każdy się na to zdecyduje, sami ruszyli do rodzin internowanych, by dostarczyć im pomoc. Ksiądz wspominał: „Przez parę dni nie wiedzieliśmy, co dalej. Nie wiedzieliśmy, co będą robiły władze, czy np. nie zastosują dobrych dawnych zwyczajów i nie zaczną wywozić na Sybir – tego nikt nie wiedział. Po paru dniach, kiedy szok ustąpił, ludzie spontanicznie zaczęli się organizować. Powstały punkty kontaktowe, ludzie radzili między sobą, jak można pomóc tym, którzy zostali aresztowani, internowani, zaczęły tworzyć się struktury podziemne i stopniowo weszła dalej walka bez przemocy, która miała iść w tym kierunku, by nadzieja, którą komuniści chcieli zabić stanem wojennym, w społeczeństwie nie zgasła”. Rozpoczął współpracę z podziemiem: „Ponieważ akurat trwały przedświąteczne spowiedzi, moim punktem kontaktowym był konfesjonał. Ci, którzy mieli mi coś do przekazania, a znali mnie, stawali przed konfesjonałem. Kiedy widziałem, że ktoś czeka, przeproszałem na chwilę i szedłem do zakrystii. Osoba, która miała dla mnie coś do przekazania, udawała się w stronę bocznego wyjścia, żeby stamtąd również przejść do zakrystii. Nie szliśmy obok siebie, aby nie było widać, że się spotykamy, na wypadek, gdyby ktoś nas obserwował. Wymienialiśmy się informacjami czy na przykład materiałami o aresztowaniach i rozstawaliśmy się. Natomiast jeśli wiadomość miał mi przekazać ktoś, kto mnie nie znał, ustawiał się w kolejce do konfesjonału. Niestety, musiał stać, żeby się do mnie dostać. Mieliśmy wtedy ustalone hasło, które brzmiało: »Czy ma ksiądz Pismo Święte po grecku?«. Nie wiem, kto je wymyślił. Później śmiałyśmy się, że co poniektórzy niezbyt dobrze umieli czytać po polsku, a pytali o literaturę po grecku”.

Po 1981 r. pogłębiający się kryzys ekonomiczny powodował, że ludzie szukali oparcia. Otrzymywali je na plebanii, gdzie przy pomocy działaczy duszpasterstwa m.in. rozdzielano paczki z Zachodu.



Od lewej Franciszek Wołowicz, ówczesny poseł SLD, Eugeniusz Olejniczak – wójt gm. Trzebiel, Leszek Szreder – ówczesny komendant wojewódzki Policji w Gorzowie Wlkp., ks. Witold Andrzejewski, kapelan Policji lubuskiej

W drodze na poświęcenie sztandaru Policji



Poświęcenie sztandaru Policji

Ksiądz Witold Andrzejewski. Pielgrzym Niepodległości (1940–2015)

Plebania stała się także miejscem spotkań organizatorów gorzowskiego podziemia. Ksiądz, jakby wbrew coraz powszechniejszemu marazmowi, wprowadzał w życie kolejne inicjatywy. Wciąż wygłaszał kazania, przyciągające rzesze wiernych z całego miasta, w czasie których stwierdzał między innymi, że „cywilizacja komunizmu wyraźnie się kończy”, w różnych miejscach w Polsce głosił rekolekcje, od 1983 r. wspólnie ze swoimi wychowankami, organizował pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę, która wychodziła z Gorzowa Wlkp. (przewodniczył jej do 1992 r.), zaś w 1985 r. zainicjował stworzenie czasopisma o tematyce społeczno-religijnej. „Aspekty. Pismo Duszpasterstwa Akademickiego w Gorzowie Wlkp.” rozrosły się do tego stopnia, że po 1989 r. stały się miesięcznikiem diecezji gorzowskiej.

Czy przełom 1989 r. go rozczarował? Cieszył się, kiedy doszło do obrad Okrągłego Stołu: „Byłem absolutnie za. Na pewno nie wierzyłem w dobrą wolę komunistów. Byłem przekonany, że robią to wyłącznie dla koniunktury, żeby utrzymać się, jeśli nie przy władzy, to przynajmniej przy gospodarce – czyli tam, gdzie jest »kasa«. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości”. Miał jednak też żal za pewne decyzje strony solidarnościowej: „Dosłownie wściekłem się, kiedy generał Jaruzelski został wybrany na prezydenta. Uważałem, że to był straszliwy błąd. Paru ludzi ode mnie za to oberwało, personalnie, w cztery oczy. Byli to ci, którzy wtedy głosowali lub nie było ich na głosowaniu. Ponieważ zostałem wychowany w tradycji wojskowej, tradycji mojego ojca, nie do pomyslenia dla mnie było, że prezydentem może zostać ktoś, kto nie jest człowiekiem honoru. A nie wierzę, że może być człowiekiem honoru ktoś służący tym, przez których zginęli jego rodzice. W moim przekonaniu po prostu nie może być”.

Nie miał wątpliwości co do tego, że Polska jest wolna, dostrzegał jednak jej wady. Raziło go kłamstwo w życiu publicznym oraz społeczne na nie przyzwolenie: „Polityk, który kłamie, powinien natychmiast

ponosić śmierć polityczną” – mówił. Raziła go również postawa roszczeniowa obywateli, uważał, że każdy powinien wymagać od siebie, stawiać sobie pytanie, co może zrobić dla Polski.

1989 to również rok, w którym został mianowany proboszczem parafii pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Tak opowiadał o nowym wyzwaniu: „[...] zaskoczyła mnie jedna rzecz – przedtem zajmowałem się określonymi działkami (młodzież to była moja działka, potem weszły sprawy związane z Solidarnością, z ludźmi pracy), a w momencie kiedy zostałem proboszczem, uświadomiłem sobie, że jest mi trudno wyjeżdżać z parafii, że nawet jak wyjeżdżam, to cały czas moje myśli kręcą się wokół parafii.

Wtedy poczułem odpowiedzialność. [...] To była kwestia myślenia o ludziach – co się z nimi dzieje. Powiedziałbym – jest to takie dotykanie poczucia ojcostwa. Nagle człowiek czuje się za całą tę grupę ludzi w sposób specyficzny odpowiedzialny. Trochę jak ojciec, trochę jak pasterz”.

Jego zasługi dla Kościoła w Polsce zostały wkrótce docenione. Już w czerwcu 1989 r. swoim kapelanem mianował go papież Jan Paweł II, w 1995 r. został mianowany kanonikiem honorowym Kapituły Katedralnej w Gorzowie Wlkp., w 2004 Kanonikiem Gremialnym Kapituły Katedralnej, zaś w 2009 Dziekanem Gorzowskiej Kapituły Katedralnej. W 2010 r. został Prałatem Honorowym Jego Świątobliwości Benedykta XVI.



Był przewodnikiem duchowym nie tylko młodzieży i wymienianego wcześniej Duszpasterstwa Ludzi Pracy i Klubu Inteligencji Katolików, ale także całych grup społecznych i zawodowych. Od 1994 r. był duszpasterzem Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Lubuskiego w Gorzowie Wlkp., od 2003 r. kapłanem Policji przy Komendzie Województwa Lubuskiego, a od 2006 r. środowiska gorzowskich bibliotekarzy. Opieką duchową objął także Rodziny Katyńskie, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” (oddział w Gorzowie Wlkp.). Pracy mu nie brakowało, zwłaszcza że był również członkiem Diecezjalnej Komisji ds. Szkół Katolickich, zaś w 1997 r. odpowiadał za organizację wizyty Jana Pawła II w Gorzowie Wlkp. Do historii przeszły także jego codzienne audycje „Anioł Pański” emitowane o godzinie 12.00 w Radiu Gorzów. Do codzienności księdza, szczególnie w trudnych latach dziewięćdziesiątych, należały takie obowiązki jak pomoc bezrobotnym w poszukiwaniu pracy. Od 1995 r. był honorowym członkiem NSZZ „Solidarność”.

Długa jest także lista jego odznaczeń. W 2007 otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Gorzowa Wlkp., jak również przyjął od prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, w 2009 r. został Honorowym Obywatelom Województwa Lubuskiego, otrzymał Srebrny, a następnie Złoty Medal za Zasługi dla Policji. W 2014 r. Instytut Pamięci Narodowej nadał mu tytuł „Świadka Historii”. W 2015 r., pośmiertnie, został uhonorowany przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Od 2016 r. jest patronem jednej z gorzowskich alei.

Całe swoje dorosłe życie, w tym kapłaństwo, przeżył w Gorzowie. Choć umowę o pracę w gorzowskim teatrze podpisał tylko na jeden rok, Gorzów stał się jego domem: „[...] doznałem bardzo wiele serdeczności ludzkiej, przyjaźni... To jest charakterystyczne dla parafii na Mieszka I, że jest w niej dużo ciepłych, serdecznych ludzi. Zresztą

nigdzie nie narzekałem na relacje z ludźmi, ale tu jest dość szczególnie”. Ze swoimi parafianami zżył się na tyle, że odmówił przyjęcia „lepszego parafii”. Nawet gdy był już ciężko chory, mówił o sobie, że jest szczęśliwym księdzem i szczęśliwym człowiekiem, ponieważ wie, że znajduje się na właściwym miejscu. Choć początkowo nie rozumiał swego powołania i bronił się przed nim, po latach stwierdzał: „Pan Bóg pomógł mi odkryć, że nie ma przypadków – jest tylko reżyseria. Znakomita Boża reżyseria”.

Jakim był kapłanem? Obcujący z nim ludzie mieli świadomość, że ocierają się o historię i legendę zarazem. Cechowało go trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość. Choć sprawy, o których mówił, często nie były ani łatwe, ani popularne, przyciągał tłumy. Nie moralizował, ale przestrzegał przed relatywizmem. Był księdzem oryginalnym, ale przede wszystkim autentycznym – to, co mówił było spójne z tym, jak żył. To pozwoliło mu w krótkim czasie stać się wielkim autorytetem moralnym wśród wiernych. Liczba osób jednoznacznie wskazujących księdza jako wzór, osobę, która odegrała ważną rolę w ich życiu, jest tak długa, że nie sposób wymienić wszystkich. Stworzone przez niego duszpasterstwo akademickie było jednym z najprężniej działających w kraju, a nielegalna elita, którą wówczas wykształcił, w 1989 r. przejęła odpowiedzialność za losy Polski. Wśród swoich wychowanków, oprócz samorządowców i polityków, dochował się wielu kapłanów i 5 sióstr zakonnych. W jednym z wywiadów mówił, że „księdzem nie można być w godzinach od – do. Ludziom trzeba się oddać zupełnie, trzeba pozwolić im się »wziąć dla siebie«. To najbardziej jest potrzebne. Ksiądz darów Bożych nie otrzymał dla siebie, ale dla innych”. Jego doświadczenie Kościoła odbywało się poprzez ludzi – kapłanów, których spotykał na swojej drodze. Szczególną rolę w jego życiu odegrało dwóch: wspomniani już ks. Stanisław Bozowski i o. Hubert Czuma. Dużą rolę w jego patrzeniu na Kościół wywarł także ówczesny prymas,

kardynał Stefan Wyszyński: „Ten człowiek swoją postawą i swoim myśleniem zrobił na mnie olbrzymie wrażenie. I na początku też było tak, że nie rozumiałem wielu rzeczy, że wydawało mi się, że jest zbyt konserwatywny i dopiero po jakimś czasie zobaczyłem, z jak olbrzymią mądrością prowadził Kościół”. Nigdy nie zapominał o biskupie Wilhelmie Plucie, który zachęcał go do utrzymywania odważnej postawy wobec rządzących: „Ten biskup był tak uczciwy, że nie mógł mieć do mnie o nic pretensji” – wspominał. Dużą rolę, szczególnie w pierwszych latach jego posługi kapłańskiej, odegrali także ks. infułat dr Karol Milik, z którym mieszkał przez ścianę w kaplicy przy ul. Chodkiewicza, oraz ks. Jerzy Płóciennik, jego pierwszy proboszcz.

Gdy ktoś pytał go, dlaczego zaangażował się w działalność opozycyjną, żartem odpowiadał: „To proste. Inaczej mój tata nie wpuściłby mnie do nieba”. Zmarł po długiej chorobie 30 stycznia 2015 r. W ostatniej drodze żegnały go tłumy wiernych i przyjaciół. Do końca opiekowali się nim jego wychowankowie.



Przy grobie dziadka, 1997,
Litwa, Wilkomierz

Bibliografia:

- Król K., *Kapłan, aktor, człowiek*, wywiad z ks. Witoldem Andrzejewskim, portal internetowy „Gościa Niedzielnego” [Gość.pl; dostęp 17 maja 2018 r.].
- Marcinkiewicz M., *Oaza wolności. Duszpasterstwa akademickie w latach siedemdziesiątych XX w.*, Szczecin 2011.
- Moje życie*. Ks. Witold Andrzejewski, wywiad oprac. przez K. Buchwald-Piotrowską i K. Wojciechowskiego, w ramach projektu *Opozycja pomiędzy mitem a zapomnieniem. Opozycjoniści w polsko-niemieckim regionie transgranicznym we Frankfurcie nad Odrą w latach 80-tych XX wieku*.
- Od deski do deski*. Ks. Witold Andrzejewski w rozmowie z Wiesławem Antoszem, Gorzów Wlkp. 1999.
- Pośmiertny biogram ks. Witolda Andrzejewskiego autorstwa bp. Pawła Sochy <https://witoldandrzejewski.wordpress.com/biogram-bp-pawel-socha/>
- Semka P., *Ułan Matki Bożej*, „Do Rzeczy”, 7/2015.
- Wyrwich M., *Kapelani „Solidarności” 1980–1989*, t. 2, Warszawa 2007.